Biblioteka UMK Toruń 419485

ZESZYTY NAUKOWE UNIWERSYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU
NAUKI HUMANISTYCZNO-SPOŁECZNE — ZESZYT 48 — FILOLOGIA POLSKA IX

Instytut Filologii Polskiej

Artur Hutnikiewicz

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI *
LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

Kiedy otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w uroczystościach inowrocławskich i wygłoszenia odczytu o Stanisławie Przybyszewskim, uświadomiłem sobie w pewnym momencie, myśląc o czekającym mnie zadaniu, że powiedzieć na ten temat coś naprawdę wiarogodnego i odpowiedzialnego jest właściwie sprawą niewykonalną. Nie ma tu co ukrywać, trzeba przyznać się otwarcie, że nie tylko dla statystycznego inteligentnego Polaka, ale i dla historyka literatury Przybyszewski jest osobistością wciąż właściwie nieznaną i nieomal mityczną. Fenomen autora *De profundis* jest przykładem wyjątkowej, niezwykle rzadko na ogół spotykanej mistyfikacji, rzadko ze względu na zasięg i totalność, bo ogarnia ona wszystko, zarówno życie jak dzieło. O Przybyszewskim nic się porządnie nie wie, jakim był naprawdę i co wniósł do dorobku naszej kultury, ponieważ między nami a nim rozrosła się niesamowicie jakaś zła i krzywdząca legenda. Najtrafniej bodaj uchwycił niedawno i opisał składowe elementy owej legendy Roman T a b o r s k i, pisząc we wstępie do *Wyboru pism* Przybyszewskiego: „»Cygan« i »dekadent«, kabotyn i alkoholik, badacz czarnej magii i satanista, erotoman, który złamał życie kilku zakochanych w nim kobiet, i człowiek o chorobliwie słabej woli, dla którego kłamstwo było najczęściej stosowanym środkiem służącym do rozplątywania zawikłanych sytuacji życiowych — do tego w gruncie rzeczy sprowadza się dzisiaj kanon obiegowej »wiedzy« o Przybyszewskim" [1].

419485

* Odczyt wygłoszony na sesji popularnonaukowej zorganizowanej w dniach 25 i 26 maja 1968 r. w Inowrocławiu dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Stanisława Przybyszewskiego.

[1] R. T a b o r s k i, *Wstęp* do *Wyboru pism* Stanisława Przybyszewskiego. Wrocław—Warszawa—Kraków 1966, Biblioteka Narodowa, S. I, Nr 190, s. III.

UNIWERSYTECKA W TORUNIU
D. 1556/2

Nic tu dodać, nic ująć; Taborski ma całkowitą rację. W świadomości przeciętnego Polaka błąka się istotnie jakieś niewyraźne wyobrażenie kogoś, kto odegrał co prawda jakąś podobno znaczącą rolę w dziejach polskiej literatury, ale w istocie zmarnował się i jako człowiek, i jako pisarz, a jego dzieło zdeaktualizowało się doszczętnie i jest już jakoby dla współczesnych odbiorców absolutnie nieczytelne.

Jako historyk literatury muszę tu otwarcie i samokrytycznie wyznać, że nauka polska nie dopełniła wobec Przybyszewskiego elementarnego obowiązku zebrania i udostępnienia wszystkich jego dzieł oraz ponownego ich, krytycznego, sumiennego odczytania, bez uprzedzeń, *sine ira et studio*. Jest swoistym paradoksem, że Przybyszewski doczekał się takiej dokumentacji biograficznej, jakiej nie mają pisarze o wiele od niego wybitniejsi. Mam tu oczywiście na myśli owoc benedyktyńskiej skrzętności i pracowitości prof. Helsztyńskiego, wydawcy i komentatora olbrzymiego trzytomowego kodeksu korespondencji autora *Moich współczesnych* [2] oraz tegoż samego uczonego gruntowną biografię pisarza [3]. Z tym wszystkim Przybyszewski był i pozostał nadal całkowicie nieznany. Jego utwory literackie są praktycznie nieosiągalne. Wydane jeszcze w początkach naszego wieku stanowią unikalne egzemplarze, niemal dosłownie „białe kruki", dostępne wyłącznie w niektórych większych bibliotekach publicznych. Jedyne podjęte jeszcze za życia Przybyszewskiego zbiorowe wydanie jego pism z inicjatywy lwowskiego wydawnictwa „Lector" [4], nawiasem mówiąc wyjątkowo niedbałe i rojące się od błędów, nigdy w istocie nie ukończone i ograniczające się właściwie do twórczości powieściowej, jest również, jak wszystko, co Przybyszewski napisał, praktycznie nie do zdobycia. Przybyszewskiego się nie wznawia, nie czyta, jest to pisarz w najściślejszym tego słowa znaczeniu nieobecny.

W przypadku autora *Moich współczesnych* została zatem jaskrawo zwichnięta płaszczyzna kontaktu i kąt widzenia. To, co powinno być w zasadzie jedynie środkiem pomocniczym gruntowniejszej eksplikacji twórczego dzieła, znajomość biografii oraz warunków i okoliczności życia, wysunęło się nieproporcjonalnie na pierwszy plan; a to, co najistotniejsze i co jedynie usprawiedliwia zajęcie się człowiekiem, jego pisarski dorobek, zostało zepchnięte niemal w zupełne zapomnienie i praktycznie wyłączone z aktywnie działającej tradycji, z czynnego uczestnictwa w żywym obiegu

---

[2] S. Przybyszewski, *Listy*, t. I—II, Warszawa 1937—1938, t. III, Wrocław 1954.

[3] S. Helsztyński, *Przybyszewski*, Kraków 1958, Wyd. II, 1966.

[4] S. Przybyszewski, *Dzieła*, Warszawa—Lwów 1923.

twórczych wartości kulturowych. Przybyszewski oddany w arendę przypadkowych pamiętnikarzy, znających go częstokroć z bardzo powierzchownych kontaktów, stał się bohaterem skandaliczno-trywialnego romansu, pisanego w najrozmaitszych wersjach i z bardzo różnym talentem, ale powielającego aż do znudzenia ten sam w zasadzie stereotyp zbuntowanego i upadłego Lucyfera, którego rewelatorskie inicjacje okazały się mistyfikacją, dzieło pisarskie efemerycznym ewenementem jednego sezonu, a on sam uwikłany w sieci drastycznych komplikacji biograficznych zdaje się stanowić przestrogę przed życiem bez busoli i bez kierunku.

Przed nauką stoi zatem zadanie odkłamania owego mylącego stereotypu, owej „złej legendy" o Przybyszewskim. Legendy według mego przekonania krzywdzącej i wysoce niesprawiedliwej. Życie osobiste Przybyszewskiego, mogące istotnie stanowić doskonały materiał dla niezwykle frapującej *vie romancée*, wcale nie było bardziej zawiłe i skomplikowane niż biografie wielu innych, dawniejszych i Przybyszewskiemu współczesnych twórców kultury i literatury. Autor *De profundis* miał jedynie to osobliwe i przewrotne szczęście, że stał się przedmiotem wyjątkowo natrętnej i niepowściągliwej ciekawości, do czego zresztą i on sam walnie się przyczynił swoją dezynwolturą i nonszalancją w ujawnianiu sekretów własnej biografii. Reszty dopełniło wyjątkowo wczesne jak na przyjęte w nauce obyczaje opublikowanie korespondencji. Trzeba tu bowiem uświadomić sobie, że twórczość epistolarna nawet naszych największych luminarzy literatury, jak Mickiewicza czy Krasińskiego, czekała całe dziesięciolecia, zanim zaczęto ją sukcesywnie, ostrożnymi dawkami udostępniać badaczom i czytelnikom, że do dnia dzisiejszego nie jest ona znana w całości i że była przedmiotem niesłychanie starannej, prewencyjnej selekcji ze strony rodziny i spadkobierców, zabiegających często aż przesadnie o to, by do wiadomości powszechnej to tylko podać, co owi spadkobiercy wielkiego i głośnego człowieka w swoim subiektywnym mniemaniu za możliwe do publicznej prezentacji uznali. W przypadku Przybyszewskiego stało się zupełnie inaczej. Pierwsze dwa tomy listów ukazały się już w dziesięć zaledwie lat po zgonie ich nadawcy, za życia najbliższej rodziny i wielu jeszcze przedstawicieli tego samego pokolenia, które autora *Wigilii* bezpośrednio osobiście znało. Zbiór jest ponadto wyjątkowy i chyba jedyny w swoim rodzaju jeśli idzie o kompletność, wykluczającą jakiekolwiek względy osobistej czy rodzinnej dyskrecji. Nie umniejszając ani na jotę bezspornych zasług wydawcy, który zrobił dla Przybyszewskiego więcej niż ktokolwiek w Polsce, trzeba jednakowoż powiedzieć, że pojawienie się tego epistolarnego kodeksu przy jednoczesnej całkowitej nieobecności dzieł pisarza na księgarskim rynku stworzyło paradoksalną sytuację. Nauka

znalazła się w dość osobliwym położeniu, w którym mogła bardzo wiele powiedzieć o najbardziej nawet intymnych sekretach biografii człowieka, prawie nic nie mając do powiedzenia o pisarzu. W tym zakresie jesteśmy wciąż jeszcze zdani właściwie na intuicyjne wyczucia, domniemania, wrażenia.

Przybyszewski jako zjawisko wymaga zatem generalnej rewizji i ponownego odkrycia. Ze względu na specyficzną rolę, jaka mu przypadła, rolę prawodawcy i inicjatora, jego biografia w szerszym zapewne zakresie niż to jest konieczne przy twórczości innych pisarzy, musi być uwzględniona w każdej syntetycznej czy analitycznej próbie określenia jego pozycji i stanowiska w historii i w żywym dorobku literatury polskiej. Będzie to jednakże — jak przypuszczać wolno — biografia literacka, która wszystko to, co należy do najbardziej osobistych, tragicznych i w ostateczności nigdy nie dających się do końca zrozumieć i wyjaśnić dziejów człowieka, potraktuje z dyskrecją jako tę strefę życia prywatnego, która jest wyłączną, zastrzeżoną własnością jednostki, wydobędzie zaś i wyeksponuje wkład rzeczywisty artysty w kulturę polską. Nie interesuje nas bowiem plotka o Przybyszewskim, lecz prawda o tym, co w najlepszych i najszczęśliwszych godzinach swojego życia zdołał on osiągnąć.

To, co tu zamierzam powiedzieć, wobec istniejącego stanu badań, a właściwie przy całkowitym ich od lat impasie, nie może pretendować do żadnej szczególnej odkrywczości, a tym bardziej pewności; jest z jednej strony tylko przypomnieniem i jakby uporządkowaniem terenu, a z drugiej próbą zwiadowczego rekonesansu w dziedzinę, którą się systematycznie omija oraz sformułowaniem kilku sugestii, które być może mogłyby stać się punktem wyjścia dla rehabilitacji literackiej pisarza.

Pisałem niedawno w popularnym szkicu o Przybyszewskim [5], że wydaje się on należeć do tego bardzo specjalnego gatunku twórców, co nie tyle słowem działają, ile nieodpartym urokiem swej osobowości, atmosferą, jaką wokół siebie stwarzają. Ich znaczenie polega na inicjacji nowych prądów, nowych kierunków, stają się zaczynem duchowego fermentu i należą bardziej do dziejów kultury literackiej i życia artystycznego swojej epoki niż do historii literatury w ścisłym znaczeniu. Dziś, gdy czytam to, co sam niedawno napisałem, trochę bym stonował i stuszował tę zbyt kategoryczną jak mi się zdaje opinię, zbyt kategoryczną w pewnym jak gdyby pomniejszeniu czy zbyt niskiej ocenie żywotności literackiej dorobku

[5] A. Hutnikiewicz, *Stanisław Przybyszewski 1868—1927*, [w:] *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku. Literatura okresu Młodej Polski*, t. II, Warszawa 1967, s. 107—152.

pisarza. Dziś byłbym skłonny przypuszczać, że w tych sprawach nigdy żadnej pewności mieć nie można. Historia kultury i literatury zna najzupełniej nieoczekiwane i nie dające się przewidzieć renesansy twórców. Nikt nie może zaręczyć, czy i dla Przybyszewskiego nie przyjdzie kiedyś jego godzina. Ale to jest pewne, że wpływ jego osobisty był istotnie szczególny i co najmniej równie znaczący, co jego dzieła. Na Przybyszewskiego jesteśmy wciąż skłonni patrzeć przez pryzmat jego przedwczesnego schyłku, gdy wydawał się istotnie cieniem samego siebie. Ale dla literatury ważny jest Przybyszewski ze swojej epoki heroicznej. Nie ulega wątpliwości, że musiał być inteligencją niezwykłą i narzucającą się otoczeniu jakąś szczególną tej inteligencji błyskotliwością. Jego studia berlińskie, medycyny i architektury, były zapewne bardzo niesystematyczne i nigdy ich nie ukończył, ale dostarczają one dowodów wyjątkowych uzdolnień, skoro ów bardzo niezdyscyplinowany adept neurofizjologii i psychologii doświadczalnej zdobywał się na pisanie tez doktorskich dla zamożnych kolegów, a swoimi obserwacjami nad patologią mózgu podsunął chirurgowi Schleichowi pomysł oryginalnej metody znieczulania miejscowego. Jego pierwsze utwory ujawniają głębokie ślady bardzo solidnego myślenia przyrodniczego. Chłonność umysłowa tego prowincjusza, absolwenta małomiasteczkowego gimnazjum pruskiego, wybierającego się z głuchej polskiej prowincji do stolicy wielkiego państwa na podbój świata, była zdumiewająca, oczytanie zapewne chaotyczne, ale fantastycznie rozległe. Spencer, Stirner, Schopenhauer, Büchner, Darwin, Lombroso, Pascal, Zola, Ibsen, literatura niemiecka i skandynawska, historia malarstwa, studia nad architekturą, gotykiem, demonologia, wiedza tajemna, to wszystko przemieszane w tyglu żywej, kipiącej inteligencji, rozmieniane na tysiące błyskotliwych paradoksów w nie kończących się dysputach, zapewniło temu niezwykłemu chłopcu jedno z pierwszych miejsc i nawet swoisty autorytet wśród ówczesnej berlińskiej studenterii polskiej i wśród niemiecko-skandynawskiej bohemy. Znakomity uczony Ludwik Krzywicki, zwalczający zresztą później zdecydowanie Przybyszewskiego i przybyszewszczyznę, opowiada w swoich wspomnieniach o pierwszym przypadkowym spotkaniu z Przybyszewskim w Berlinie. Było to w początkach ostatniej dekady ubiegłego stulecia, gwiazda autora *Wigilii* zaczynała zaledwie wschodzić, ale już wówczas ujawniał on — jak powiada pamiętnikarz — „wszystkie właściwości uwodziciela dusz ludzkich", „pociągającego [...] ku sobie wyrazem swojej twarzy, gestami swojej ręki, miękkością swego głosu"[6]. Swoisty mechanizm umysłowości Przybyszewskiego, urodzonego

[6] L. Krzywicki, *Wspomnienia*, [Warszawa] 1958, t. II, s. 438.

przywódcy i nauczyciela, domagał się już wtedy obecności audytorium jako siły napędowej, pobudzającej pracę dynamizmów psychicznych. „Przybyszewski — jak trafnie zauważył to Krzywicki — był artystą, który najlepiej tworzy w gromadzie entuzjastycznej, odgrywającej względem niego rolę rezonansu" [7]. Zachowując wszystkie proporcje można by powiedzieć, że w Przybyszewskim było coś sokratycznego, coś z urodzonego animatora i mistrza, który gdyby nawet nie napisał jak Sokrates ani jednego słowa, samym wewnętrznym rozżarzeniem swej osobowości zdolny był wytwarzać wokół siebie magnetyczne pole przyciągania, fascynacji i entuzjazmu.

Do tego uroku osobistego, do tej magii zniewalającej wymowy, którą zdobywał nie tylko wszystkie kobiety, lecz również co wrażliwszą młodzież, dorzucił Przybyszewski swoje wczesne utwory, chyba najlepsze z wszystkiego, co kiedykolwiek napisał, poświęcone oczywiście apoteozie sztuki i charakterystyce psychologii jednostki twórczej, napisane po niemiecku, owym dziwnym językiem, którego zastanawiający urok wytłumaczyć by chyba można jedynie tym, że był przekładaniem treści myślanych po polsku na język obcy. Dwa języki o całkowicie odrębnych wewnętrznych ustrojach, wchodząc z sobą w tajemny sojusz, dawały w rezultacie nową, oryginalną i jedyną w swoim rodzaju wartość.

Boy-Żeleński dał kiedyś próbkę analizy porównawczej stylu Przybyszewskiego na przykładzie dwu wersji językowych tego samego utworu, niemieckiej i polskiej. Okazało się, a ten sąd Boya każdy potwierdzi, że wersja polska przynosiła niemal z reguły pewne rozczarowanie. W swoim stylu niemieckim „nawet w gorączce" potrafił Przybyszewski zachować „umiar, oszczędność, dbałość o słowo jedyne, swoiste i celne" [8]. W jego stylu polskim wszystkie te zalety ulegały jak gdyby osobliwemu rozrzedzeniu. Jakby dyscyplina wyrazu, narzucona oporami obcojęzycznego materiału słownego, w zetknięciu z żywiołem rodzimości ulegała niepokojącemu rozregulowaniu.

Ale historia literatury winna oceniać pisarza według jego szczytów i byłoby uproszczeniem twierdzić, że twórczość polska była zawsze i stanowczo o jakiś stopień artystycznie niższa. Autor *Ślubów* jak każdy pisarz miał momenty wzniesień i godziny słabości, ale dla literatury polskiej ważny jest Przybyszewski z okresu maksymalnej swojej potencji twórczej. Ten okres zbiegł się z datą jego przybycia do Polski. Miał wtedy dopiero trzydzieści lat i miał już wówczas poza sobą prawie wszystko, co by-

[7] Ibid.

[8] T. Żeleński (Boy), *Blaski i nędze mowy polskiej*, [w:] *Ludzie żywi. Pisma*, t. III, [Warszawa 1956], s. 38.

ło jego oryginalnym osiągnięciem i wkładem, swój literacki program, swoją estetykę, filozofię oraz kilkanaście najświetniejszych utworów. Przybywał z szerokiego świata poprzez Hiszpanię i Paryż, w pełnym przekonaniu o szczególnej wadze swego posłannictwa i apostolatu artystycznego. Nie przybywał zresztą sam. Roli i sukcesów Przybyszewskiego w owych euforycznych miesiącach duchowego podboju Polski niepodobna rozpatrywać nie myśląc zarazem o kobiecie, która przybyła za nim z dalekiej Norwegii przywołana patetycznym wezwaniem *Komm, Liebste, komm* i o której wierny kronikarz tamtych czasów Boy napisze po latach z najgłębszym przekonaniem, że była w życiu Przybyszewskiego „żywą jego legendą, wdziękiem, poezją [...] duszą domu, na który przez chwilę zwrócone były oczy całej Polski" [9], Dagny Przybyszewska. Jej pojawienie się w cichym i spokojnym Krakowie było zjawiskiem równie fantastycznym, jakby nie z tego świata, jak sam fenomen Przybyszewskiego. Wyjątkowo inteligentna, sama obdarzona literackim talentem, działająca bez wątpienia zapładniająco na myśl twórczą męża, z wielkopańską obojętnością znosząca wszystkie mizerie życia cyganerii, fizycznie urocza, secesyjna, prerafaelicka, jakby z imaginacyjnych portretów Burne-Jonesa i Rossettiego, przed którą ustępował pokonany nawet taki kostyczny i cierpki świadek tamtych czasów jak cytowany już poprzednio Krzywicki. A że komplement przeciwnika jest najwyższym hołdem, warto więc może tę relację przypomnieć.

Było to już po okresie krakowskim, w czasie pobytu Przybyszewskich w Warszawie i już po ostrych atakach Krzywickiego na przybyszewszczyznę. Znakomity uczony spotkał Przybyszewskiego idącego z Dagną na Nowym Świecie. Była wiosna, piękny, słoneczny poranek. Dagny szła z mężem pod rękę.

„Podchodząc do mnie — pisze Krzywicki — puściła ramię męża, stanęła na środku chodnika, ujęła obiema rękami sukienkę i z całą powagą zrobiła dyg ironiczny. Przechodnie stanęli. Po chwili ze śmiechem ujęła ramię męża i poszli dalej. Było to ironiczne podziękowanie za artykuły moje wymierzone przeciw przybyszewszczyźnie. Ale jej postać — dodaje pamiętnikarz — była tak urocza, całe zdarzenie na tle pogody wiosennej i promieni słonecznych miało piętno takiego uroku fantastycznego, iż dzisiaj wypływa w mojej pamięci jako obraz pełen wdzięku i artyzmu" [10].

Epizod opowiedziany przez Krzywickiego dotyczy okresu w biografii obojga bohaterów anegdoty, na który padł już głęboki cień tragicznych

[9] T. Żeleński (Boy), *Kłamstwo Przybyszewskiego*, [w:] *Ludzie żywi...*, s. 67.
[10] L. Krzywicki, op. cit., t. II, s. 442 .

i nieodwracalnych zdarzeń. Ale jakąż musiała być ta kobieta wówczas, gdy przybywała do nieznanej Polski ponaglana namiętnymi słowami: „Przyjeżdżaj, ukochana, przyjeżdżaj, tutaj będziesz bez granic szczęśliwa" i gdy opisując atmosferę domu Przybyszewskich przy ulicy Siemiradzkiego Boy-Żeleński przyrównywał go do jakiejś innej planety i pisał, że się nie da z niczym „porównać owych nocy, na przemian rozpaczliwej i radosnej egzaltacji, [...] które z tego mieszkania czyniły jakąś zaczarowaną, świetlną wyspę w cichym i zdumionym Krakowie" [11].

Oczywiście jeden człowiek nie mógłby dokonać przełomu w sztuce i w myśleniu o sztuce, gdyby nie napotkał atmosfery przychylnej i podatnej. Kiedy Przybyszewski zjechał do Krakowa, zastał grunt w istocie przygotowany. Szkoła Sztuk Pięknych, teatr Pawlikowskiego, mnóstwo znakomitych talentów aktorskich i artystycznych, „Życie" Szczepańskiego, a przede wszystkim jakiś ogólny nastrój idealnie sprzyjający wszelkim twórczym inicjacjom ułatwiły niewątpliwie odegranie zasugerowanej mu przez bieg zdarzeń roli. Bezpośredni wpływ literacki Przybyszewskiego okazał się raczej marginalny i dotyczył przeważnie drugorzędnych efemeryd pisarskich, ale pośrednio ogarnął wszystkich. Stając się ośrodkiem polaryzacji rozpierzchłych dotąd i niepewnych dążeń, wyzwoliwszy utajone potencje, którym dał prawo do jawności, imperatywnym tonem swych manifestów programowych Przybyszewski przebudował cały system myślenia i cały stosunek do spraw sztuki i to nie tylko wśród artystów i ludzi pióra, lecz również wśród szerokich rzesz społeczeństwa. Ludwik Hieronim Morstin wyznał kiedyś w jednym ze swych wspomnień [12], jak to zadał sobie pewnego razu trud przejrzenia w którejś z bibliotek tygodników literackich i pism codziennych z epoki, zanim Przybyszewski zjechał do Polski. Uderzył go zatrważająco niski poziom poezji, jakie w nich drukowano. Aczkolwiek było to już po epoce Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, wartość artystyczna tych wierszy nie przekraczała poziomu Wincentego Pola. Był to codzienny pokarm publiczności, która innego się nie domagała.

Po Przybyszewskim stało się to już niemożliwe. Przybyszewski rozbił wszystkie skostnienia, wszystkie trzymające się inercją nawyki, zbuntował literaturę przeciw życiu i przeciw samej sobie, jaką dotychczas była, rozbudził nowe, wyższe aspiracje, ośmielił ją, uczynił prawdziwie wolną i świadomą swego znaczenia.

---

[11] T. Żeleński (Boy), *Kłamstwo Przybyszewskiego*, [w:] *Ludzie żywi...*, s. 65.

[12] L. H. Morstin, *Stanisław Przybyszewski*, [w:] *Spotkania z ludźmi*, Kraków [1957], s. 42.

Eksponując rolę Przybyszewskiego jako inspiratora, prawodawcy i, jak to on sam mówił o sobie, Jana Chrzciciela nowej epoki literackiej, niepodobna jednakowoż pominąć jego twórczości. Zła legenda i w tym zakresie dokonała niesłychanych spustoszeń, czemu idealnie sprzyjało doskonałe wyparowanie dzieł pisarza z żywego obiegu czytelniczego. Dzieło to jest, jak już wspomniałem, nieznane, ale za to pokutuje w świadomości powszechnej mocno w niej ugruntowana i nigdy nie sprawdzana opinia o ogólnej jakoby z nielicznymi wyjątkami bezwartościowości spuścizny pisarskiej autora *De profundis* oraz o jej wysoce demoralizującym społecznie działaniu. Można by nawet sporządzić coś w rodzaju rejestru owych „grzechów głównych", którymi owa obiegowa opinia zwykła obciążać pamięć pisarza. A więc grzech najcięższy: aspołeczny stosunek do życia i literatury, absolutna negacja moralnej i społecznej odpowiedzialności pisarza czyli osławiona „sztuka dla sztuki". A dalej: metasłowo, Absolut, „naga dusza", przedmiot niezliczonych dowcipów wszystkich pism humorystycznych w Polsce, o którym sam Przybyszewski pisał w swych wspomnieniach, że nie było może „w całej współczesnej literaturze hasła, które by [...] wywołało tyle nieporozumień [...] Nie było dość jadowitej śliny, którą by nie opluwano tej nieszczęsnej nagiej duszy, bo był to właśnie czas, w którym najordynarniejszy pozytywizm święcił swe przedśmiertne triumfy" [13]. Chorobliwy erotyzm, panseksualizm, priapizm płciowy, to osławione „Na początku była chuć". Satanizm, magia, średniowieczne brednie o czarownicach, *Synagoga Szatana*, *Il regno doloroso* itp.

Gdy się przyjrzeć temu rejestrowi „przewinień" i skonfrontować go z kolei z dziełem Przybyszewskiego, dopiero wówczas uświadamiamy sobie całą płytkość i bezpodstawność tych oskarżeń. Co krok to nieporozumienie, co słowo to żenująca ignorancja i zupełna niewiedza rzeczy. Weźmy choćby ową „sztukę dla sztuki". Powtarzając to hasło sztandarowe epoki jesteśmy wciąż skłonni je rozumieć jako wezwanie do jakiegoś formalnego, czystego estetyzmu w oderwaniu od jakichkolwiek filozoficznych, moralnych i społecznych zagadnień życia. Tymczasem sprawa ma się całkiem inaczej. „Sztuka dla sztuki" to po prostu postulat przywrócenia literaturze i wszelkiemu działaniu artystycznemu jego godności, autonomii, niezawisłości, uwolnienia od doraźnych i pod presją narzucanych funkcji i zadań, uświadomienia tak artystom, jak społeczeństwu, że sztuka jako swoista i odrębna dziedzina działalności twórczej człowieka nie jest i pod żadnym pozorem być nie może instrumentem takiej lub innej agitacji czy

[13] S. Przybyszewski, *Moi współcześni. Wśród obcych*, Warszawa 1926, s. 291.

załatwiania spraw potocznych naszego życia, lecz jest wartością samoistną, autonomiczną, a jej celem najistotniejszym i najbardziej zaszczytnym jest docieranie do najgłębszych źródeł poznania, tłumaczenie i wyjaśnianie życia nie w jego przejawach przypadkowych i zmiennych lecz w tych, w których wyraża się jego istota, jego metafizyczna prawda. Maria Dąbrowska, która w latach swej młodości przeszła okres fascynacji osobowością pisarską Przybyszewskiego, tak właśnie tłumaczy jego olbrzymi wpływ na ówczesne pokolenie. „Kochało się już wtedy sztukę — pisała Dąbrowska — lecz nie rozumiało się wcale jej miejsca w życiu — ni skąd płynie jej czar. Przybyszewski nam to pierwszy powiedział.

Wyjawił nam istotę znaczenia sztuki, ustalił raz na zawsze właściwy do niej stosunek, jej związek z wszystkimi stanami religijnymi i emocjonalnymi, w których poznajemy istotę i wartość życia" [14].

Twierdząc więc, że sztuka nie ma żadnego celu, jest celem samym w sobie, Przybyszewski dążył jedynie do wyzwolenia sztuki z doraźnej, interwencyjnej służebności i do przywrócenia jej najwyższej funkcji instrumentu poznania w jego sensie najgłębszym, sensie filozoficznym.

Podobnie ma się sprawa z tą osławioną „nagą duszą". Pomijając całą metafizyczną wykładnię tego pojęcia, którą można poczytać za fantazję poetycką, o cóż tu w istocie, naprawdę chodzi? Chodzi po prostu o moralny imperatyw absolutnej szczerości. Pierwszym obowiązkiem artysty jest według Przybyszewskiego bezwzględne wypowiedzenie siebie, bezkompromisowe odkłamanie, ujawnienie wszystkich, nawet najbardziej żenujących, może nawet przerażających tajemnic życia wewnętrznego. Artysta robić to powinien na drodze uporczywej, nieustającej introspekcji, a nawet przy pomocy swoistego rodzaju eksperymentacji duchowej, wywołującej stany nowe i nieznane, aby wzmóc poczucie, że się dociera istotnie do — jak to on określał — „praiłów bytu". „Naga dusza" jest to więc w istocie w poetyckim jedynie języku sformułowany synonim owego kłębiącego się, ciemnego żywiołu, którego istnienie Przybyszewski przeczuł przed psychoanalizą i psychologią głębi; to freudowskie *id*, „ono", podświadomość, to bergsonowska „jaźń głęboka", *le moi profond*, a więc to, co w nas pierwsze, pierwotne, a zatem najistotniejsze, żywiołowe, dynamiczne, tłumione cenzurą świadomości, krępowane nawykami i postulatami kultury, a odsłaniające się jedynie w stanach szczególnego napięcia i naruszenia równowagi. Są to sytuacje psychiczne wyjęte jak gdyby spod kontroli racjonalnej, a zatem nie zdeformowane ingerencją intelektu, naj-

[14] M. Dąbrowska, *Dziedzina przerażenia*, [w:] *Pisma rozproszone*, Kraków 1964, t. II, s. 462.

bliższe prawdy. Wgłębiając się w tę dziedzinę, przenikając ją intuicyjnie pisarz zbliża się być może do najdalszych granic poznania, jakie w ogóle człowiekowi mogą być dostępne.

Jak powierzchownie rozumie się i jak nieodpowiedzialnie dyskredytuje pewne koncepcje Przybyszewskiego wcale nie tak absurdalne, jak się na ogół sądzi, tego najjaskrawszym dowodem może być historia owego tyleż osławionego, co zupełnie nie zrozumianego zdania, od którego zaczyna się poemat prozą *Requiem aeternam* — „Am Anfang war das Geschlecht", „Na początku była chuć". Przybyszewski deprawator i demoralizator, duch nieczysty piśmiennictwa narodowego. A przecież już samo brzmienie owego zdania, będącego parafrazą początku Ewangelii według św. Jana: „Na początku było Słowo", to „na początku" powinno było ostrzec nazbyt skwapliwych do potępień egzegetów pisarza, że nie chodzi tu przecież o erotyzm i popęd seksualny w potocznym fizjologicznym sensie, lecz o ową pierwszą zasadę bytu, o której mówią wszystkie kosmogonie świata. Gdyby szukać dla koncepcji Przybyszewskiego jakiegoś współczesnego odpowiednika filozoficznego, jakiejś idei sformułowanej mniej poetycko, w języku bardziej racjonalnym, to można by jego „chuć" zidentyfikować z bergsonowskim *élan vital* lub z schopenhauerowską „wolą". Jest to zatem wewnętrzny, organiczny, twórczy niepokój, nie dające się ukoić parcie i ruch, motor ewolucji zarówno całości bytu, jak pojedynczego istnienia, immanentna zasada życia. To prawda, że precyzując w dalszym rozwoju swojej myśli to pierwotne pojęcie Przybyszewski istotnie zaczął się koncentrować coraz wyłączniej na wzajemnym stosunku płci, ale i wówczas wbrew pozorom cały jego wysiłek twórczy zmierzał ku celom wręcz przeciwnym niż mu to imputowano. Przeciwstawiając się naturalistycznemu eksploatowaniu w literaturze motywów erotycznych w ich najbardziej drastycznej i wulgarnej postaci, Przybyszewski usiłował nadać fenomenologii miłości jakieś głębsze uzasadnienie, ukazać ją według jego własnego określenia jako coś „niezmiernie czystego", coś „nieomal tragicznego w swej bolesnej tęsknocie za pierwotnym androgynizmem" [15], za nieosiągalnym w istocie stanem doskonałego zjednoczenia się i zespolenia dwu odmiennych monad psychicznych. W istocie więc zarówno poematy Przybyszewskiego, poświęcone analizie fenomenu miłości jako siły kosmicznej, jak też jego teatr, rozpatrujący w ustawicznie zmieniających się wariantach ten sam w zasadzie problem dramatycznych powikłań wzajemnego stosunku między mężczyzną a kobietą, wbrew powierzchownemu mniemaniu stanowiły akt twórczy w najwyższym stopniu moralny; prze-

[15] S. Przybyszewski, *Szlakiem duszy polskiej*, wyd. II, Poznań 1920, s. 137.

ciwstawiając się trywialnej seksualizacji literatury i rugując ze sceny płaską, dwuznaczną farsę bulwarową służyły pogłębieniu etyki odpowiedzialności. Być może, że Przybyszewski wyolbrzymiał, że przesadzał, że nadmiernie demonizował, popadał w egzaltację erotyczną i przeceniał rolę tego czynnika wśród tylu innych egzystencjalnych niepokojów, nękających człowieka, ale niepodobna przeoczać, że i w tym szczególnym ukierunkowaniu swej twórczej pasji był on zarówno produktem tamtej epoki, jak też zaspokajał na swój sposób jej naglące potrzeby i zamówienie. Raz jeszcze warto tu przywołać na poparcie tej supozycji świadectwo pisarza, którego dzieło zdaje się być przeciwieństwem tego typu twórczości, jaki reprezentował Przybyszewski i dlatego świadectwo to tym bardziej może uchodzić za bezstronne i obiektywne, Marii Dąbrowskiej. Otóż Dąbrowska, zastanawiając się nad rolą Przybyszewskiego w świadomości moralnej jej pokolenia, wyszła od pewnej bardzo ciekawej obserwacji socjologiczno-kulturowej, zwróciła mianowicie uwagę, że poszczególne epoki rozwoju kultury i literatury „mają skłonność do przesadnego wysuwania na pierwszy plan coraz to innej sprawy życia, jakby każdą z nich po kolei [chciały] tym sposobem lepiej ocenić i poznać" [16]. Otóż w okresie jej własnego „dzieciństwa i wczesnej młodości sprawą taką była miłość pojęta jako miłość dwojga, nieodpowiedzialne przed nikim i przed niczym prawo do rozwoju uczuć indywidualnych oraz kult marzenia na niekorzyść rzeczywistości. Przybyszewski — pisała Dąbrowska — został wyrazicielem tych rzeczy, doprowadził je do pożądanej przez jego pokolenie demonicznej przesady i stał się bożyszczem czasu" [17].

Ale pozostaje jeszcze Przybyszewski-satanista, demonolog, niedoszły monografista czarownicy. Z pogardliwym uśmiechem i z kpinami przyjmowała polska opinia czytelnicza, a bodaj i do dzisiaj przyjmuje, owe „majaczenia" i „brednie", wylęgłe jakoby w najgłębszych mrokach średniowiecza. A przecież Przybyszewski nie był jakimś dziwactwem i wyjątkiem na tle ówczesnej Europy artystycznej i tylko zaściankowość naszej polskiej prowincji sprawiła, że nic z tego u nas nie zrozumiano. A tymczasem cała młoda modernistyczna Europa podniecała się niesamowitościami tego rodzaju i było jakieś nieomal zapotrzebowanie społeczne na satanizm, na grozę, na demonologię, czarne msze, alchemię, gotyk, średniowiecze, na wszelakie perwersje i anomalie, na obrazy rozrastania się w człowieku śmierci, choroby i szaleństwa. Patronami tej literatury byli

[16] M. Dąbrowska, *Piewca niedojrzałości duchowej*, [w:] *Pisma rozproszone...*, s. 468.

[17] Ibid., s. 469.

Gilles de Rais i markiz de Sade, Goya i Huysmans jako autor *Là-bas*, którego bohater zanim rzucił się pod stopy krzyża przeszedł wszystkie otchłanie nowoczesnego satanizmu, Barbey d'Aurevilly jako twórca *Diabolików*, które ilustrował następnie słynny Felicien Rops, Edgar Poe, Strindberg, przyjaciel i antagonista Przybyszewskiego z czasów berlińskich i Hans Heinz Ewers, którego Przybyszewski będzie po latach tłumaczył. Wobec tego fantastycznego rozkiełzania wyobraźni jakże naiwną, skromną i ubogą była literatura polska, która nigdy nie potrafiła oderwać się od życia, od jego ciasnych, zamkniętych horyzontów i jego codziennych, szarych, prozaicznych spraw. Potrzebny więc był jej ten zastrzyk przewrotności i wyrafinowania, ten łut zepsucia i perwersji, bez którego groził jej nieuchronny uwiąd i nuda od nadmiaru przyzwoitości. I choć autorowi *Dzieci szatana* nie udało się definitywnie przełamać naszych polskich sielankowych skłonności, to przecież o ileż uboższa byłaby literatura polska bez owej egzaltacji satanicznej, jaką wniósł w jej szarość i trzeźwość Przybyszewski.

Byłoby przecież zasadniczym uproszczeniem przypuszczać, że na tym jedynie wyczerpuje się rola owego motywu satanicznego w twórczości pisarza. Ten rzekomy demoralizator był w istocie obsesyjnym moralistą, dla którego Szatan był symbolem immanentnego zła i grozy świata. Zapuszczając się w otchłanie zwyrodnienia i zbrodni Przybyszewski — jak to trafnie zauważyła kiedyś Zofia Nałkowska [18] — usiłował dotrzeć do tej granicy psychicznego poznania i moralnej samowiedzy, na której wie się o człowieku już prawie wszystko. Człowiek obnażony i odarty z tajemnic aż do najczulszych unerwień i w tym obnażeniu taki, jakim jest naprawdę, stawał się istotą, wobec której doznaje się uczucia najgłębszej, wewnętrznej solidarności i nieskończonej litości. Przybyszewski paradoksalnie nie wierzył w winę, bo zakładał, że człowiek jest ślepym i bezwolnym narzędziem natury, a jednocześnie prześladowany był nieustannie poczuciem grzechu. Człowiek — rozumował — postępuje tak, jak postępować musi, dusza ma prawo być sobą bez względu na takie lub inne systematy moralne, ale działając niejako poza dobrem i złem człowiek przekracza ustawicznie prawa i normy, jakie stworzyło społeczeństwo. Upodabniając się do otoczenia, ulegając presji owych etycznych regulatorów społecznego współżycia, człowiek zaczyna doświadczać permanentnie nękającego go poczucia winy. Ale obok tej winy etycznej, wynikającej z przekroczenia pewnych imponderabiliów moralnych, narzuconych przez kulturę, zgod-

[18] Z. Nałkowska, *Moralność Przybyszewskiego*, Wiadomości Literackie, 1928, nr 18.

nie ze swą skłonnością do nadawania swym poglądom jakichś głębszych uzasadnień Przybyszewski zakładał ponadto istnienie winy metafizycznej. Człowiek — sądził — ma niejasne, głuche, głęboko w nim zakorzenione poczucie, że sam fakt życia jest wystarczający, by ponieść karę. „Jesteśmy grzesznikami wobec czegoś, co żyje w nas zduszone, lecz domaga się odkupienia. Każdy człowiek jest upadłym aniołem" [19]. Nie ma winy, ale jest za to przeznaczenie i odwet. Wszystko się mści. Życie jest przerażającą otchłanią, w którą ustawicznie spadamy aż do dnia ostatecznej i nieuchronnej klęski. W czasach, gdy na scenach polskich panoszyła się bulwarowa, mieszczańska farsa, a szczytem sztuki dramatycznej był Bałucki, jakże potrzebny i ożywczy był ten tragiczny krzyk i ten posępny fatalizm, jakie wniósł w nasze życie duchowe teatr Przybyszewskiego.

Cała ta filozofia pesymizmu i fatalizmu znajdowała oparcie w ogólnym poglądzie pisarza na stan i perspektywy rozwojowe nowożytnego społeczeństwa [20]. Przybyszewski przekonany był o trwałym, organicznym jego kryzysie. Kryzys ten polegał na zaostrzającym się coraz bardziej konflikcie twórczej jednostki ze zbiorowością. Sytuacja wzajemnego porozumienia, wspólności idei, identyczności dążeń tych dwu rzeczywistości, indywiduum i społeczeństwa, jest we współczesnym świecie według Przybyszewskiego zasadniczo nieosiągalna. Jednostka twórcza jest najdoskonalszym instrumentem ewolucji gatunku, bo dysponując głębszą niż zbiorowość samowiedzą zdobywa dla niej nowe obszary życia, wytycza kierunki działań, odkrywa nieznane prawdy. Ale ta jej aktywność napotyka z reguły na tępy opór społecznego konformizmu i konserwatyzmu. Nieuniknionym losem indywiduum jest poczucie bezsiły, samotności i niezrozumienia. Kultura się rozwija, bo to jest koniecznością życia, ale jednostka twórcza, stanowiąca siłę sprawczą tej ewolucji, przypłaca ów postęp klęską i cierpieniem, ponieważ tłum kamieniuje swoich proroków. Bunt Przybyszewskiego przeciw samozadowoleniu filistrii, przeciw bezkonfliktowości i bezproblemowości życia był więc buntem przeciw tyranii i dominacji zbiorowiska, które niszczy bezwzględnie najwartościowsze spośród siebie i najwyżej zorganizowane jednostki. Bunt tym tragiczniejszy, że Przybyszewski nie wierzył w przyszły raj ludzkości. Wraz z rozwojem kultury rośnie zarazem suma bólu i cierpienia, która przekroczywszy dopuszczalny swój szczyt skazuje każdą cywilizację na nieuchronny rozkład i zagładę.

---

[19] E. Breiter, *Literatura sumieniem narodu. Od Przybyszewskiego do Nowaczyńskiego*, Wiadomości, [Londyn] 1959, nr 24.

[20] Por. S. Borzym, *Przybyszewski jako filozof*, Pamiętnik Literacki, 1968, z. 1.

Jeśli sobie to wszystko, co tu w najogólniejszym zarysie przedstawiłem, uświadomimy, pojmiemy wówczas, jak bardzo był ten pisarz z przełomu wieków nowoczesny, jak wyprzedzał swój czas. Jest jedna trudność, która szalenie komplikuje nasz stosunek do Przybyszewskiego, nie łatwa do pokonania przegroda językowa. W Przybyszewskim stylistyka młodopolska, tak bardzo dla odbiorcy współczesnego niestrawna, znalazła najjaskrawszy bodaj wyraz i formę i to nas zniechęca. Uprzedzeni zapominamy zazwyczaj, że ów grzech przeciw słowu obciąża nie tylko jego i że nawet u największych tamtej epoki, u Wyspiańskiego czy u Żeromskiego można by znaleźć zdania, przypominające stylistykę trzeciorzędnych romansów. Jeśli jednak zadamy sobie trud rozgarnięcia owej drażniącej i irytującej afektacji słownej, odsłoni nam się pisarz, który bodaj pierwszy w naszej literaturze odkrył i postawił najbardziej animujące, najgłębiej odczuwane i przeżywane problemy naszej epoki. Po okresie, w którym wyznaczono literaturze rolę pokornej służki społeczeństwa, Przybyszewski przywrócił sztuce polskiej poczucie wolności i godności. Narzuciwszy jej problemy o znaczeniu powszechnym wywiódł ją z ciasnego kręgu nazbyt wyłącznego zapatrzenia się w niedolę polską, uczynił ją głębszą i bardziej ludzką, rozszerzył widnokręgi jej refleksji i doświadczenia. Wyprzedził tak znamienną dla literatury naszego wieku pasję psychologiczną, odkrywając przed Freudem i przed spopularyzowaniem wszystkich objawień psychoanalizy demoniczny żywioł życia podświadomego. Stworzył sobie w tym celu odpowiednią formę i styl wewnętrznego monologu, nieomal stenograficznego zapisu owego strumienia treści psychicznych, napierającego z jakichś niepojętych głębin osobowości ludzkiej, z wszystkimi jego skrętami i odbiegami, z wszystkimi zdumiewającymi przeskokami skojarzeń. Zwrócony ku wnętrzu i zbuntowany przeciw światu był jednym z pierwszych u nas poprzedników ekspresjonizmu, a więc tego kierunku świadomości moralnej i estetycznej, którego znaczenie dla rozwoju kultury naszego wieku wydaje się szczególnie doniosłe. Dokonał przełomu w dziedzinie erotyki literackiej i w tym zakresie wyprzedzając tak charakterystyczną dla literatury XX stulecia fascynację problematyką seksualną, ale jednocześnie traktując ją o ileż głębiej jako wielką tajemnicę naszego życia. Nieufny wobec możliwości poznawczych rozumu zapowiadał jak gdyby wszystkie irracjonalizmy i nadrealizmy naszej epoki, a jego tragiczny pogląd na świat i jego nieufność wobec perspektyw rozwojowych cywilizacji przypominają egzystencjalne niepokoje wielkiej literatury pytającej naszego wieku, jej katastroficzne lęki i urazy alienacyjne, stawiając twórczość Przybyszewskiego przy zachowaniu rzecz jasna wszystkich

proporcji i różnic na tej linii poszukiwań filozoficznych i światopoglądowych, którą wyznaczają nazwiska Pascala, Kierkegaarda i współczesnych egzystencjalistów. To wszystko wymaga oczywiście jeszcze sprawdzenia, ale można przypuszczać na podstawie tego zwiadowczego narazie oglądu rzeczy, że ten pisarz tak na pozór daleki jest w istocie o wiele bliższy naszej epoki niż to się na ogół wydaje.

I jeszcze jedno. „Obcość" Przybyszewskiego tłumaczy się niekiedy jego rzekomym kosmopolityzmem, jego zupełnym oderwaniem od tego, czym żyła w ciągu wieków nasza literatura narodowa, oderwaniem od historycznego losu polskiego. Nie jest to ścisłe. Zarówno w biografii tego pisarza, jak i w jego twórczości są dość liczne i wymowne ślady głębokiego przywiązania do Polski i czynnego zaangażowania zarówno w sprawach naszej przyszłości narodowej, jak i polskiej kultury. Świadczy o tym działalność propagandowo-publicystyczna Przybyszewskiego w okresie pierwszej wojny, świadczą jego starania o założenie polskiego gimnazjum w Gdańsku w latach powojennych. Ale nie to jest najistotniejsze. Jest w biografii i w twórczości autora *Moich współczesnych* rys szczególnie znamienny i wzruszający. Oto ten pisarz tak bardzo rzekomo „kosmopolityczny" był w rzeczywistości obok Kasprowicza jedynym wielkim poetą tego zakątka Polski, który tak zupełnie nieoczekiwanie po wiekach ugorowania, na przełomie stuleci ujawnił swoją indywidualność i swoją potencję kulturotwórczą w olśniewającej karierze tych dwu znakomitych, głośnych swych synów. Otóż Kujawy i Wielkopolska zdają się trwać niezmiennie, na przestrzeni całej twórczości, w polu najgorętszych i najżywszych przywiązań Przybyszewskiego. Eseje i poematy prozą, *Poznań ostoją myśli polskiej*, *Z gleby kujawskiej*, liczne stronice we wspomnieniach, częste lokalizacje zdarzeń powieściowych w tych właśnie stronach zdają się potwierdzać to narzucające się, nieodparte wrażenie. I zapewne nie jest rzeczą przypadku, że ostatnim utworem, jaki Przybyszewski napisał, było opowiadanie *Nad Gopłem*, przeznaczone dla podręcznika do nauki języka polskiego w klasie drugiej ówczesnego ośmioletniego gimnazjum ogólnokształcącego *Będziem Polakami*. Podręcznik ten stanowił jedno z kolejnych ogniw w kilkutomowym cyklu najpiękniejszych książek szkolnych, jakie stworzyła kiedykolwiek polska myśl pedagogiczna: *Kraj lat dziecinnych*, *Będziem Polakami*, *Miej serce*. Te prześliczne czytanki, przygotowywane na specjalne zamówienie przez najwybitniejszych żyjących ówcześnie pisarzy polskich, stworzone zostały przez entuzjazm dwu nauczycieli z Bożej — jak to się mówi — łaski, z których jeden było ponadto poetą — Juliusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego. Miałem to niezwykłe szczęście być uczniem jednego z nich, miałem wtedy dwanaście lat i pa-

miętam doskonale, bo takich rzeczy się nie zapomina, jak nam prof. Balicki w starym VI gimnazjum lwowskim na Łyczakowie przynosił do klasy pachnące jeszcze świeżą farbą drukarską odbitki szpaltowe tych jego ukochanych i wypieszczonych książek, które wchodziły do programu szkolnego jakoś równolegle ze mną, w miarę jak przechodziłem z klasy pierwszej do drugiej i do trzeciej. Stylistyka opowiadania *Nad Gopłem*, które przeznaczone było do lektury domowej, wskazywała najoczywiściej, że nie był to jakiś wyjątek z pism Przybyszewskiego, mechanicznie wybrany, lecz rzecz opracowana specjalnie, świadomie, na zamówienie, z wyraźną myślą o młodocianych, dwunastoletnich czytelnikach. I tak właśnie jako bezpośrednio do nas zwrócone odbieraliśmy wówczas słowo poety.

„Kiedy będziecie «tam» — pisał Przybyszewski — w moich stronach, mnie już nie będzie najpewniej na świecie. Ale zostaną po mnie moje książki. I ta książka o jednej srebrnej karcie, na którą z największą miłością patrzyłem w dzieciństwie: Gopło [...]

Wiem, że będzie pogoda, gdy przyjedziecie. I rano będzie takie, jakie jest w was, w waszych sercach dwunastoletnich. Rowy się do was uśmiechną krwawnikami, a zboże odsłoni w sobie tu modrak, tam mak. I przyjdą dziewanny z piasków, a łopiany was oblegną zewsząd, zaś mokradła będą z daleka, jak zwykły, bełkotać żabimi głosami. A potem »ono« zabłyśnie w ramie wiecznej z sitowi i trzcin: Gopło. I zacznie się po swojemu ważyć i chwiać. A później lękliwie zakwilą kuliki i odezwie się pobrzęk topól i muzyczne mruczenie chrząszczy, nigdy niezmienna melodia Nadgopla.

Kiedy się jej nasłuchacie do syta, idźcie kijkami szukając drogi po rowach i mostkach, po ustępującej miękko ziemi, najpierw do Szymborza, zapytując o chatę Jaśka Kasprowicza. Dobrzy ludzie wam wskażą: Łodygowie, Posadzowie, Słabeccy, odwieczni tamtejsi mieszkańcy. A potem idźcie do Łojewa, pytając o »szkołę«, tę, w której żył i tęsknił Staś Przybyszewski. A przez całą drogę zrywajcie kwiaty polne. I tataraku do nich dodajcie też, żeby te bukieciki woniały i wodą. I zapamiętajcie ten zapach. Jeśli po latach przeczytacie wiersze Jana Kasprowicza i moją prozę, przypomni się wam ta woń polna i nadwodna. Bo i my obaj niczym tu może nie byliśmy, tylko łopianem i krwawnikiem znad Gopła" [21].

Wielki współczesnik Przybyszewskiego Stefan Żeromski napisał kiedyś w jednym z listów, że każdy człowiek, cokolwiek by w swoim życiu robił i jakimi dalekimi stronami świata rzucałby go los, pozostaje na zawsze „członkiem, faktyczną, integralną duchową częścią" swej parafii i gminy [22]. Przybyszewski jest nie do pomyślenia bez Nadgopla, bez Kujaw. W litera-

---

[21] S. Przybyszewski, *Nad Gopłem*, [w:] J. Balicki i S. Maykowski, *Będziem Polakami*, Lwów—Warszawa—Kraków 1928, s. 46.

[22] List do Oktawii Rodkiewiczowej z 21 maja 1892 r. Zob. S. Piołun-Noyszewski, *Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość*, Warszawa 1928.

turze Młodej Polski zawrotną karierę zrobiło pewne słowo, które najpierw było jakby symbolem, słowem-kluczem, otwierającym sezamy najwznioślejszych i najcudowniejszych wtajemniczeń, a potem zbyt często odmieniane stało się już nic nie mówiącym, pustym, pozbawionym treści stylistycznym banałem. Słowem tym jest „tęsknota". „Tęsknota" pojawia się na kartach pism Przybyszewskiego bardzo często i zdaje się, że to on przede wszystkim nadał temu słowu ów sens szczególny i znaczący. Ale tęsknota Przybyszewskiego była autentyczna, on naprawdę tęsknił. Wziął w siebie to uczucie z nostalgicznego smutku płaskich, w bezkres rozrzuconych rozłogów swojej najbliższej ojczyzny, z poszumu nadgoplańskich drzew, z rozpacznego zawodzenia chłopskiego, z nuty kujawskiej. To w nim żyło i to go ustawicznie wołało. A wśród przedziwnych splątań jego biografii jakże znamienny jest ów finał, te ostatnie miesiące i tygodnie życia. W tym roku pamiętnym 1927 Przybyszewski trzykrotnie wracał na Kujawy. Był tu w lutym, w maju i po raz ostatni jesienią. Przybyszewski nie wierzył, by w życiu ludzkim mogło dziać się cokolwiek na zasadzie przypadku. Swoje własne urodziny w tym właśnie, a nie innym zakątku Polski uważał za konieczność, za przeznaczenie. Tylko tutaj mógł się urodzić i tylko tutaj umrzeć. Jakby w przeczuciu nieuniknionego wracał do swego źródła, do swojego początku, aby z tą ziemią, z tą wodą i pod tym niebem już na zawsze pozostać.

Artur Hutnikiewicz

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI. LEGENDE UND WIRKLICHKEIT

(Zusammenfassung)

In der volkstümlichen Meinung wird Stanisław Przybyszewski für einen Schriftsteller gehalten, dessen Werke und die darin enthaltene Problematik ausschliesslich historische Bedeutung haben, und inaktuell, verklungen und kaum lesbar sind. Das Gegenteil ist aber die Wahrheit. Przybyszewski ist ein Schriftsteller geblieben, der als einer der ersten in der polnischen Literatur die zutiefst fühlbaren und erlebten Fragen unserer Epoche enthüllt und aufgestellt hat. Nach der Periode des positivistischen Utilitarismus hat er der polnischen Kunst ihre Freiheit und das Gefühl der eigenen Würde wiedergebracht. Er trug ihr die allgemeingültigen Probleme auf und verbreitete die Horizonte ihrer Reflexion und Erfahrung. Das psychologische Einfühlungsvermögen Przybyszewski's hat viele Jahre vor Sigmund Freud die Sphären der seelischen Erscheinungen entdeckt, welche dann durch die Psychoanalyse volkstümlich gemacht worden sind. Der Typus seiner literarischen Erotik scheint der für die Literatur unseres Jahrhunderts so markanten Faszinierung mit der sexuellen

Problematik voranzuschreiten, und seine tragische Weltanschauung, sowie sein Misstrauen gegenüber den Entwicklungsperspektiven der zeitgenössischen Zivilisation scheint an die existentielle Unruhe der fragenden Literatur des 20. Jahrhunderts, ihre katastrophischen Ängste und Entfremdungstraumas zu erinnern. In der literarischen Form ist Przybyszewski in der polnischen Literatur einer der führenden Vorläufer des späteren Expressionismus. Mit all dem verbleibt er aber zugleich ein Schriftsteller, der mit seiner engeren Heimat Kujawien sich tief verbunden fühlt; er verdankt ihr vor allem den tief heimweherischen Grundton seines Schaffens.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

419425